

KIJ W MROWISKU - AUTOR! AUTOR!

Zacząłem warsztaty literackie z nową grupą kandydatów na prozaików i poetów. Pierwsze spotkanie, każdy się przedstawia, mówi coś o sobie. Aby lepiej poznać uczestników zajęć, pytam ich o ulubione książki. I wtedy kompletne zaskoczenie - chłopak twierdzi, że jego ulubioną książką jest *Giaur*. I że właśnie czyta ją trzeci raz. Trochę nie dowierzam, więc dopytuję, czy chodzi o powieść poetycką Byrona. I wtedy zaskoczenie jest już zupełne - chłopak nie zna autora, bo nigdy nie czyta stron tytułowych. Interesują go książki, a nie pisarze. Spełnienie snu strukturalistów o śmierci autora? Chłopak chyba jednak nie czytał Rolanda Barthesa, a nawet jeśli czytał - i tak przecież nie poznał jego nazwiska.

Początkowo zszokowany postawą młodego miłośnika romantyzmu, po chwili zapytałem się w duchu, czy i mnie nie zdarzają się podobne sytuacje. Czy w zapale czytelniczym nie pożeram książek, nie zwracając uwagi, kto je napisał? Szybki rachunek sumienia wykazał, że owszem. Przeczytałem krótką powieść ostatnio nagrodzonego Noblem Francuza, ale jak on się, do diaska, nazywał? Bez Internetu nie dałem rady sobie przypomnieć, że Patrick Modiano. A filmy? Czy pamiętam nazwiska reżyserów, na których dzieła wybrałem się do kina? Czy chciało mi się sprawdzić nazwiska tych, których filmy obejrzałem w kawałkach, skacząc po telewizyjnych kanałach? Na przykład znakomita *Śmieszność* - też jakiegoś Francuza. Dlaczego nie pamiętam jego nazwiska? Czy dlatego, że zawsze mogę sprawdzić?

Internet niewątpliwie pamięci szkodzi, tak jak samochód szkodzi mięśniom nóg. Przestajemy pamiętać, kto co powiedział, kiedy coś się wydarzyło, kto jest autorem naszej ulubionej sztuki. Czy ludzie, którzy po kilka razy chodzą na *Szalone nożyczki*, znają nazwisko Paula Pörtnera? Być może niektórzy znają. A nazwisko reżysera Marcina Sławińskiego? Chyba raczej nie. Czy oglądający reklamę z wpadającą w ucho melodią wiedzą, że skomponował ją - dajmy na to - Carl Orff albo Franz Schubert? Nie wiedzą i chyba wiedzieć nie chcą.

To lekceważenie autora jest o tyle dziwne, że żyjemy w czasach absolutnego szaleństwa na punkcie praw autorskich. Każdy spryciarz szuka rzeczy, którą mógłby opatentować, podpisać, zarezerwować. Rezerwuje się domeny, czyli ciekawe zestawy liter, by je odsprzedawać z zyskiem, opatentować można kolor, czyli liczbowo określoną mieszanekę trzech składników (RGB), graficzny znaczek (np. trzy paski) lub czyjeś imię (komitet przyznający nagrody upamiętniające Kolberga miał prawny spór z amerykańskim przemysłem filmowym). Rodziny żyją latami z praw autorskich po zmarłym piosenkarzu, w gazetowych podpisach pod zdjęciem najważniejsze jest nazwisko fotografa, copyright trolling pozwala ciągnąć niewyobrażalne zyski z praw do wrzuconego specjalnie w sieć zdjęcia, które ktoś niebacznie skopiuje, a które według autora jest warte wziętą z sufitu sumę. To wszystko pikuś - inwestorzy giełdowi wykupują prawa do leków na śmiertelne choroby, a koncerny prawa do mieszanek zmodyfikowanych genetycznie nasion.

Dochodzimy do paradoksu - żyjemy w świecie, w którym nic się już nie opłaca z wyjątkiem inwestowania w prawa autorskie, marki i logotypy (a także w prawników). Nie opłaca się hodować krów, produkować serów, prowadzić sklepiku, ale opłaca się kupić logo wypromowanego produktu. Nie opłaca się nagrywać płyt (pisać książek), ale opłaca się zbierać opłaty licencyjne za odtwarzanie tych płyt u fryzjera. I tak dalej. (Na świecie) powstał system prawny dla cwaniaków i naciągaczy. W dodatku nie wiadomo, kto jest jego autorem.